

JAK SHIRLEY VALENTINE

ROZMOWA Z KRYSYŃĄ JANDĄ

Krystyna Janda 10 maja rozpoczyna zdjęcia do serii telewizyjnej „Męskie – żeńskie” według jej pomysłu, scenariusza i w jej reżyserii. Jako matka i córka wystąpią Krystyna Janda i Maria Seweryn

DOROTA WYŻYŃSKA: Czym różni się seria od serialu?

■ ■ ■ KRYSYŃA JANDA: Nie będzie to tasiemcowy serial ani sitcom, ale seria historii z życia wziętych. Łączy je pięć postaci: matka – historyk sztuki, córka – weterynarz, gospodarz domu, jego żona i ich syn. Poza stałymi postaciami każdy odcinek będzie miał nowego bohatera, który wniesie swoją historię. Nadawane raz w tygodniu odcinki tworzą zamknięte całości.

Chciałabym, żeby były to filmy jasne, pokazywały świat z poczuciem humoru, ale nie stricte komediowe, tylko gatunkowo niejednoznaczne – raz śmieszne, raz groteskowe, a kiedy indziej smutne, jak np. opowieść o wielkiej niedziej aktorce, która dziś żebrze pod supermarketem.

Trudno było namówić Krystynę Jandę na taką produkcję?

■ ■ ■ Praca nad tym filmem daje mi niesamowitą frajdę. Ale oczywiście nie wpadłabym na to sama. Nie podjęłabym się czegoś takiego, gdyby nie zamówienie od telewizji. Pretekstem były moje felietony, które publikuję od kilku lat. Ludzie z telewizji doszli do wniosku, że można by stworzyć coś podobnego na ekranie.

To wielkie wyzwanie. Zawsze plały mi się po głowie różne historie, które chciałam prznieść na ekran, ale wiedziałam, że to za mało, żeby zrobić pełnowymiarowy film. A na zabawny felieton telewizyjny są w sam raz.

Co znaczy pisać dla siebie scenariusz filmowy?

■ ■ ■ Z jednej strony mnie to bawi, mogę wymyślać rzeczy, którymi żaden scenarzysta by mnie nie uraczył, ale z drugiej – to bardzo stresujące zajęcie. Tym bardziej że moja postać jest narracyjna, komentująca, a nie „przeżywająca”. Zamawiający oczekiwali, że zobaczą mnie na ekranie w wersji podobnej do mojej Shirley Valentine [w „Shirley Valentine”, sztuce Willy’ego Russella w reżyserii Macieja Wojtyłki, aktorka gra od kilku lat z niesłabnącym powodzeniem w Teatrze Powszechnym w Warszawie – red.]. Nie wiem, czy mam talent, aby napisać taką postać z dużą dawką autoironii, specyficznym stosunkiem do świata, mężczyzn i problemów... Na razie wymyślam, bawię się, biorę rzeczy i zda-



zenia z życia – moja bohaterka w scenariuszu, nad którym właśnie pracuję, znajduje np. w lodówce szczołkę do włosów, bo mnie się to zdarzyło kilka dni temu... Piszę też dla moich kolegów, aktorów, przyjaciół – znam ich, wiem o nich dużo.

Każdy odcinek piszę do spółki z Arkadiuszem Borowikiem, który ma duże doświadczenie, przykładał rękę do wielu telewizyjnych hitów. Wymyślam temat, zarys i przebieg historii, piszę początek dialogów, żeby zaznaczyć charakterystykę mówienia postaci, i materiał wysyłam do pana Arka, a on dopisuje swoje.

W każdym odcinku jest scena – jakby wyjęta z całości – rozmowa matki i córki, którą pisze nam Anna Bojarska. Wysyłam jej temat, np. matka i córka rozmawiają o starości albo mężczyznach. Anna przysłała mi coś na kształt felietonu-rozmowy.

Dlaczego Anna Bojarska?

■ ■ ■ Zależało nam na jeszcze innym punkcie widzenia. Chciałam, żeby rozmowa matki i córki

była odważna, a nawet drastyczna, a przede wszystkim, żeby była spojrzeniem z zewnątrz. Jestem zamknięta w kręgu naszych spraw, naszych kobiet, naszych kłopotów. Obawiałam się, że nie będzie mnie stać na odwagę, żeby poruszyć bardziej niekonwencjonalnie jakiś problem. Anna jest z tego znana, więc uznałam, że jej wkład będzie bardzo cenny. Mieszka na stałe w Paryżu i ogląda świat troszkę w innych barwach.

Pani bohaterka to historyk sztuki, która na skutek redukcji etatów w muzeum traci pracę...

■ ■ ■ ...ale się nie poddaje i ambitnie postanawia otworzyć galerię sztuki współczesnej. Żeby otworzyć galerię, wzięła kredyt. Na ekranie dzieje los wielu osób w Polsce, które miały pomysł na ambitną działalność, a spotykają się z kłopotami finansowymi, z którymi nie mogą sobie poradzić. Nie tylko z własnej winy, ale też dlatego, że społeczeństwo nie jest gotowe. Po raz kolejny okazuje się, jak trudno dziś namówić ludzi na coś z wyższej półki. Kogo dziś interesuje sztuka współczesna? Kto czuje potrzebę po-

siadania w domu obrazu? Gdzie jest pani, która mówiła mi z dumą na jakimś przyjęciu: „A ja mam w domu obraz ręcznie malowany, wie pani”? Bo nie wystarczy wyrwać z kalendarza kartkę ze „Słonecznikami” van Gogha, oprawić w ramkę i powiesić na ścianie. Chociaż i to już bardzo dużo.

Mam ambicje, żeby przy okazji tego filmu rozbudzić apetyty Polaków albo chociaż zapoznać widza z czymś, z czym nie ma szansy się zapoznać. Mam nadzieję, że jeśli akcja filmu rozgrywać się będzie w galerii, na tle zmieniających się obrazów i rzeźb, to widz oswoi się ze sztuką współczesną. A może zacznie ją lubić? **Skąd weźmie Pani rekwizyty?**

■■■ Pani scenograf nawiązała kontakty z warszawskimi galeriami. Ludzie zajmujący się sztuką współczesną obiecali nam pomagać. To dla nich rodzaj promocji. Wierzę, że będę miała dostęp do młodych malarzy, którzy są nieznani, a których warto pokazać.

Chce Pani stworzyć na ekranie nową Shirley Valentine. Reakcje widzów podczas spektaklu w Teatrze Powszechnym są nie do opisania. Kobiety przychodzą do Pani za kulisy, zwierają się. Dobrze Pani wie, że Shirley odmieniła życie niejednej osoby.

■■■ Bardzo chciałabym przenieść do filmu ten typ kobiety: jej radość życia, otwartość, niekonwencjonalność. U podstaw mojego myślenia o tej serii leżało to, jak publiczność reaguje na kobietę, która ma odwagę powiedzieć, że się nie zgadza z mężem, ze światem, z oczekiwaniami otoczenia. Chce walczyć o siebie, o własny gust i poglądy. Moją ambicją jest to, żeby film opowiadał o sprawach, które dotyczą wszystkich, czyhają na każdym rogu. A jednocześnie, żeby poglądy wyrażane w tej serii były nowoczesne, otwarte, żeby bohaterowie myśleli bardziej niekonwencjonalnie niż „ogół”. Chciałabym, aby film zachęcał do rozwoju, sprawił, byśmy nabrali tolerancji w każdej sprawie, choćby innej orientacji seksualnej czy innego poglądu na piękno... **Udało się Pani namówić na współpracę wybitnego operatora Witolda Sobocińskiego.**

■■■ To absolutna rewolucja także w jego życiu. Nigdy nie robił zdjęć kamerą telewizyjną, „magnesem”, jak on to nazywa, wydymając usta. Prawie pół roku namawiałam go na tę zabawę. I wreszcie się zgodził. Witold Sobociński, największy polski operator, nagle pracuje przy małej produkcji telewizyjnej! Dostaję całe jego doświadczenie i mam zamiar to wykorzystać. Choć trochę mnie peszy, kiedy przy omawianiu jakiejś sceny mówi: „Tu ci zrobię takie ujęcie, jakie zrobiłem we »Franticu«, chcesz?”. Uważam, że jestem dzieckiem szczęścia tylko dlatego, że pan Witold zdecydował się na pracę ze mną. Zobaczymy tylko, czy on będzie ze mnie zadowolony! Zdjęcia rozpoczynamy 10 maja. Przed wakacjami mamy nakręcić trzy odcinki. Mam je zmontować, udźwiękować i pokazać w czerwcu w telewizji. Od tego, jaki będzie wynik pokazu wewnętrznego, będzie zależało, czy nakręcimy następne.

Rozmawiała DOROTA WYŻYŃSKA